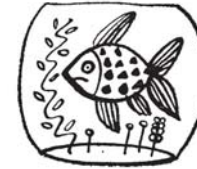


*Ta książka poświęcona jest wszystkim dzieciom,  
które martwią się, że wolno im mieć w domu tylko:*

*jednego*



*albo jedną*



*albo jednego*



*albo jednego*



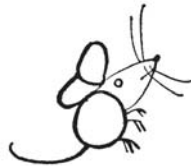
*albo jednego*



*albo jedną*



*albo jedną białą*



## Witek, Ania i słoń

Kiedy nadeszły ósme urodziny Witka, wydarzyły się bardzo dziwne rzeczy. Ania, siostra Witka, zauważyła to już rano.

— Wszystkiego najlepszego, Witek. A swoją drogą, to bardzo zabawne, że świece na twoim torcie urodzinowym są elektryczne.

Witek okrążył stół z godnością.

— Elektryczne świece urodzinowe to ostatni krzyk mody — odparł. — Ze zwykłych stearyna kapie na tort i psuje lukier.

To powiedziawszy, Witek potknął się o sznur, który łączył tort z kontaktem, i w całym domu zrobiło się krótkie spięcie.

Pani Sztenglowa poszła zaraz z usprawiedliwieniami do sąsiadów, a pan Sztengel — do elektryka po korki. Podczas gdy lokatorzy nie mogli się doczekać, kiedy odezwą się znowu ich nagle oniemiałe radia, Witek i Ania zabrali się do tortu.

Nagle ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

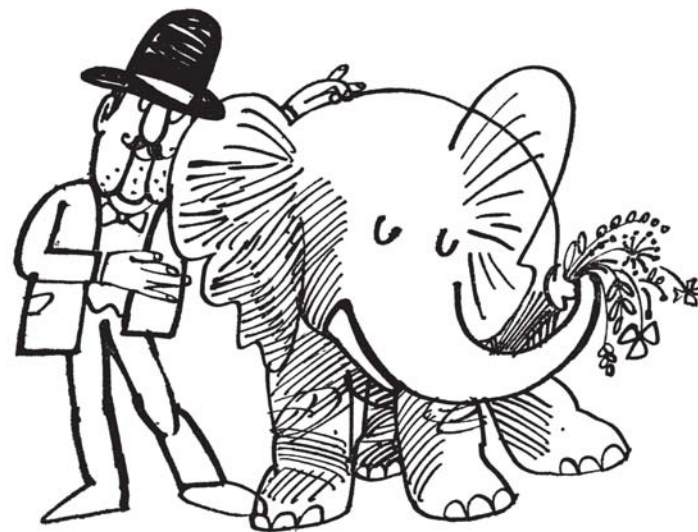
Na klatce schodowej stał jakiś pan, a obok niego słońtako. Był to mały, bardzo młody słoń. Miał pomarszczoną mordkę i mądre, nieco smutne oczy.

— Ten słoń to prezent na twoje urodziny, Witku — powiedział nieznajomy. — Nazywa się Bravo i nie zrobi w mieszkaniu żadnego nieporządku.

Słoń wyciągnął trąbę i podał Witkowi nieco przywiedły bukiet.

— Nie gniewaj się — zwrócił się ten pan do Witka — kwiaty są, zdaje się, starsze od słońtaka.

Witek bynajmniej się nie gniewał, Ania również nie miała pretensji. Rodzeństwo z zachwytem wprowadziło słońtaka do przedpokoju. Nieznajomy zaś, który go przyprowadził, powiedział:



— Ja niestety muszę was pożegnać, za godzinę mam pociąg.

— Szczęśliwej podróży! — zawołały dzieci i z całej siły potrząsnęły ręką tego pana. Nie znały go i nie miały pojęcia, dokąd musi jechać, ale szczerze życzyły mu szczęśliwej podróży.

— Szkoda, że nie chce pan nawet skosztować Witkowego tortu — powiedziała Ania, kiedy nieznajomy schodził po schodach.

Zanim wrócili rodzice, Bravo pożarł kilogram cukru w kostkach, trzy pełne talerze włoskiego makaronu i oleander mamy. Poza tym wyrzucił trąbą przez okno Aniną szczotkę do włosów i taty niklową łyżkę do butów. A teraz leżał sobie na łóżku Witka i mrugał prawym okiem.

— Prawda, że rozkoszny? — spytała Ania rodziców.

— Wielkie nieba! — westchnęli oboje i byli całkiem bezradni.

Przy obiedzie — sztukowanym chlebem, bo słońiatko pożarło prawie cały makaron — ojciec oznajmił:

— Encyklopedia podaje, że dorosłe słońie ważą cztery tysiące kilogramów, a ich kły dochodzą do dwóch metrów długości.

— E tam! — machnął ręką Witek. — Czego to nie wypisują w encyklopediach!

— Obawiam się — powiedziała matka, wyraźnie zatroskana — że pewnego dnia zawali się podłoga i razem ze słońiem i całym umeblowaniem spadniemy o piętro niżej, do pani Swobodziny.

Pani Swobodzina mieszkała na pierwszym piętrze, pod nimi. Dawała zawsze dzieciom puste szpulki i buteleczki po lekarstwach oraz widokówki. Dzieci lubiły ją i nazywały ciocią Miecią.

— A może ciocia Miecia zamieni się z nami mieszkaniem? — zaproponowała Ania. Była zachwycona tym pomysłem.

— Jeśli zawali się pod nami pierwsze piętro, wpadniemy do pracowni krawieckiej pana Iglickiego — stwierdziła mama rzeczowo.

Ojciec sięgnął po gazetę, mruczając:

— To bezczelność przemycać komuś słońia do domu. Wołę już kanarki i białe myszki.

Przeglądał gazetę, czytając drukowane tłustą czcionką tytuły. Nagle podskoczył w fotelu i zawołał:

— Dzieci, piszą tutaj, że z cyrku skradziono młodego słońia! Idźcie z nim natychmiast do dyrekcji. Jesteśmy porządną rodziną i nie będziemy przechowywać kradzionych rzeczy. Kradzione nie tuczy!

— Na pewno dostaniecie jakąś nagrodę — zauważyła mama.

— Nie chcemy żadnej nagrody — odpowiedział Witek z urazą.

— Ani grosza — potwierdziła Ania.

Oboje przyznali jednak, że muszą odprowadzić słońca do cyrku. Mieli wprawdzie cichą nadzieję, że cyrk wyjechał już gdzieś daleko, na przykład do Australii. A do Australii — każdy przyzna — nie mogliby za nim podążyć.

Pocieszeni tą myślą zaprowadzili słonika do łazienki. Wypucowali go tam pod prysznicem i wysuszyli sześcioma ręcznikami. W końcu obwiązali mu szyję sznurem do bielizny i powoli sprowadzili po schodach.

Ciocia Miecia czyściła właśnie miedzianą klamkę swoich drzwi frontowych.

— Jak ci się podoba nasze słońiatko, ciociu? — zagadnął Witek.

— Urocze — powiedziała pani Swobodzina. — Całkiem jak żywe!

— Ależ ono jest żywe! — oburzyła się Ania.

Pani Swobodzina wzięła to za dobry żart.

— Cha, cha, cha, cha — zaśmiała się. — Dlaczego więc nie trąbi?

Słońiatko spojrzało na nią dobrodusznie i niechcący nadepnęło jej na duży palec u nogi. Witek i Ania nie zauważyli tego.

Usłyszeli tylko przeraźliwy wrzask.

— Właśnie trąbi, ciociu! — zawołała Ania.

— Pomyłka — sprostowała pani Swobodzina. — To ja!

I choć była to kobieta gołębiego serca, trzepnęła słonika ścierką po uszach.

— Witek, na nas już czas — powiedziała Ania. Ze złości na panią Swobodzinę aż jej się oczy zwęziły.

Pani Swobodzina obrzuciła dzieci i słońiatko zdumionym spojrzeniem. Wszystko pięknie, pomyślała, ale ci Sztenglowie naprawdę mnie martwią. Ta rodzina bywa niekiedy dość dziwna!